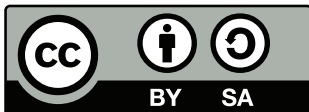


Zdzisław Ostrowski

Zbiór wierszy



Ten utwór objęty jest licencją Creative Commons Uznanie autorstwa-Bez utworów zależnych 3.0 Polska. Aby zobaczyć kopię niniejszej licencji przejdź na stronę: <http://creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/pl/>. Pewne prawa zastrzeżone na rzecz autora publikacji.

Opracowanie techniczne: eBooki.com.pl

Sybiracy.pl

2014-12-13

Zdzisław Ostrowski urodził się we wsi Jasienica w 1932 r. Mieszkał na wsi Pieńki Wielkie, kiedy w 1941 r. wraz z rodziną był wywieziony na Syberię do sowchozu Uljanowo, gdzieś w obwodzie archangielskim. W łagrze został zamordowany jego Tato. Razem z siostrą oddzielono go od Mamy oraz dwóch braci i przeniesiono do domu dziecka. Dzięki opiece dobrych ludzi wrócili do Polski, do Jasienicy w marcu 1946 r., a w kwietniu dołączyła do nich Mama i bracia. Zdzisław Ostrowski teraz ma 82 lata i swoje przeżycia z dzieciństwa na Syberii oraz młodość, naukę i pracę w oświacie opisał w wierszowanej formie. Pracował jako nauczyciel do 1997 roku. Rękopis przepisał jego wnuk Jakub.

Spis wierszy

| | |
|-----------------------------------|----|
| Przed wojną | 3 |
| Wojna – czas okupacji | 5 |
| Zsyłka – podróż na Syberię | 6 |
| Zsyłka – pobyt w Uljanowie..... | 8 |
| Zsyłka – dom dziecka | 11 |
| Powrót do Polski..... | 17 |
| Szkoła – liceum (fragmenty) | 20 |
| Moja praca i rodzina | 23 |

Przed wojną

Wieś kościelna Jasienica
Moje miejsce urodzenia,
To nie żadna tajemnica
Zdzisław dano mi z imienia.

Moja mama Stanisława
Z Bednarczyków pochodziła,
W Jasienicy przebywała
I mnie tutaj urodziła.

Był to rok trzydziesty drugi,
Gdy przyszedłem na ten świat,
Jak ten kraj szeroki, długi,
Tak przeżyłem wiele lat.

W moim życiu różnie było,
Czasem dobrze, czasem źle,
Co w tych latach się przeżyło
Tylko jeden Pan Bóg wie.

Z małych lat już pracowałem,
Chociaż krótko jeszcze żyłem.
Krowy, owce, już pasalem,
Gdy do szkoły nie chodziłem.

Ciężko było wstawać rano
I wyganiać bydło w pole,
Taką pracę już mi dano
Trzeba spełniać swoją rolę.

Było nas rodzeństwa czworo,
Trzech chłopaków, jedna dama,
Czyli mężczyzn było sporo,
No, a ona była sama.

Trzeba było na nią zważać,
U rodziców oczko w głowie,
Nie dokuczać, nie obrażać,
Bo co złego, zaraz powie.

Mała siostra to Janina,
Była w domu uwielbiana,
A co złego, nasza wina,
Więc i kara była dana.

Brat najstarszy Wińkiem zwany,
z młodych lat już też pracował,
Bo do wszelkich prac wzywany
Ojciec jego nie żałował.

Brat najmłodszy, Kazio mały
Miał za ledwie jeden roczek,
Dla nas trudne dni nastały
Lecz dla niego te uroczę.

Chociaż były i radosne
Dni spędzane bardzo mile,
Głównie zimą i na wiosnę,
Kiedy prac nie było tyle.

Dobrze było wśród rodaków
W mojej wiosce Pieńki Wielkie,
Bo dla dziewcząt i chłopaków
Były gry, zabawy wszelkie.

Lecz niestety to nietrwale,
Wszystko nagle się zmieniło,
Nasza przyjaźń się zerwała,
Chociaż nam tak dobrze było.

Dla nas to radości wielkie
I odpusty, które były,
Gdzie zakupy dla nas wszelkie,
Jaki był to dzień nam miły.

Tato, Wiktor ród Ostrowskich
W Pieńkach Wielkich gospodarzył,
On przejawiał wszelkie troski
O przyszłości ciągle marzył.

Jeździł często On do miasta,
Musiał myśleć, kombinować,
Cieszył się, jak coś przyrasta,
Lubił również pohandlować.

Miał już w planie dom budować,
Zwoził drzewo budowlane.
Według tak danego słowa
Ma być wszystko wykonane.

Wojna – czas okupacji

Wniwecz poszły jego plany,
Bo wybuchła zaraz wojna
I do wojska był zabrany,
Przyszła chwila niespokojna.

Lecz niedługo wojsko nasze
Z wrogiem dzielnie wojowało,
Trzeba było zdjąć kamasze
Dobrej walki było mało.

Cały kraj nasz był zabrany,
Okupacja więc nastąpiła,
Przez obce wojska był zalany,
Polska wreszcie się poddała.

Po skończonej z nami wojnie
Ruski z Niemcem się zmówili,
Między siebie bardzo hojnie
Naszą Polskę podzielili.

W naszym domu ciasno było,
Chociaż dom był bardzo duży.
Dwie rodziny się zmieściło
I dla wszystkich on nam służył.

Przez dwa lata okupacji
Jeszcze gorzej się zrobiło,
Mimo ciężkiej sytuacji
Troje ludzi nam przybyło.

Wszyscy byli to Rosjanie,
Którzy w sztabie pracowali,
Za to, co się złego stanie
Oni nie odpowiadali.

Chociaż byli ludzie zgodni
Nam się z nimi nieźle żyło,
Dla nas byłoby wygodniej,
Gdyby wcale ich nie było.

A w czterdziestym pierwszym roku
Niemcy znowu ich zerwali
W wielkim strachu, w grozie, w szoku
Ruscy z Polski uciekali.

Przez dwa lata się cieszyli
Dobrem naszego Narodu,
Lecz się wreszcie pokłócili,
Skończyła się ich ugoda.

I nie mogli se darować
Za to, co się z nimi stało,
Polak musiał pokutować,
Dla nich było wciąż za mało.

I zaczęli kraj pustoszyć,
Lud wywozić na Syberię,
Chcieli naród upokorzyć
Polskich rodzin całą serię.

Ja z rodziną też cierpiałem,
Byłem razem wywieziony.
Dziewięć lat dopiero miałem
A już tak upokorzony.

Niemcy parli wciąż na wschód
Zdobywając znów obszary.
Chcieli mieć wszystkiego w bród,
Lecz zabrakło siły, wiary.

Zsyłka – podróż na Syberię

Był to rok czterdziesty pierwszy,
Kiedy wiosna wita lato,
Kiedy dzień już jest najdłuższy,
Ale noc najkrótsza za to.

W piątek w nocy tuż nad ranem
Cały dom nasz otoczony.
„Jam tu władcą, jam tu panem!”
Wrzeszczy żołdat rozjuszony.

„Wstawać! – krzyczy w swym języku –
I szykować się do drogi!”
Tyle wrzasku, tyle krzyku
W naszym domu, Boże Drogi!

Mama płacze, lamentuje,
Nie wie wcale co się dzieje,
Żołdat biega, pokrzykuje:
„Paskareje, paskareje!”.

Ojciec milczy, pełen trwogi,
Wszystko zbiera i pakuje,
Już szykuje się do drogi,
Żal i smutek w sercu czuje.

Już furmanki podjeżdżają,
Na nie wszystko się ładuje
I sąsiedzi przybiegają,
Każdy z ludzi nam współczuje.

Znoszą wszystko, co kto może,
Przezywając żal i trwogę,
Chociaż tym każdy pomoże
Na daleką, ciężką drogę.

Gdy furmanki odjeżdżają,
Każdy z ludzi ubolewa:
„Gdzie nas wiozą?” – wciąż pytają –
Tam na stację, do Czyżewa”.

A na stacji pełno ludu,
Krzyczą, płaczą, lamentują,
Bo żołdaci prosto z wozów
Do wagonów ich ładują.

I my także pod konwojem
Miejsca swoje zajmujemy,
Wszystkie paczki i tobołki
Do wagonu pakujemy.

Długi pociąg, sto wagonów,
Ciężko parowozy sapią
I nie widać już peronów,
Tylko koła w szyny kłapią.

Mknie w nieznane pociąg z nami,
Wolna droga, wciąż na wschód
I świńskimi wagonami
Zamiast świń, to jedzie lud.

W małych oknach mocne kraty,
Drzwi na sztaby zaryglują,
A żołdaci na wagonach
Jeszcze z bronią nas pilnują.

Pierwszy postój jest w Charkowie,
Ludzie krzyczą: „Dajcie wody!
Się dusimy – każdy powie –
Ni powietrza, ni ochłody”.

Wreszcie drzwi się otwierają,
Dla ratunku zdrowia, życia,
Dwoje ludzi zabierają
I przynoszą trochę picia.

Już w wagonie się radują,
Że powietrze będą mieli,
Lecz z powrotem drzwi ryglują,
Znów z omdlenia będą drżeli.

W takim smrodzie i zaduchu
Wszyscy ludzie tak cierpieli,
Na tobołach i bez ruchu
Jedni spali, inni mdleli.

Tak koleją dwa tygodnie
Od Czyżewa do Kotłasu,
Jadąc w ścisku, niewygodnie
Nas męczyli tyle czasu.

A w Kotłasiu koniec drogi,
Już koleją nie jedziemy,
Tu na duże barki rzeczne
Wszyscy się teraz przesiądziemy.

Płyną barki w dal po rzece,
Z boku tajga, las sosnowy,
Wreszcie klimat i powietrze
Dla nas wszystkich bardzo zdrowy.

Starzy płaczą, dzieci kwilą,
Rozpaczają: „Co to będzie?”
Coraz gorzej z każdą chwilą,
Głód dokucza, smutek wszędzie.

Tak płyniemy coraz dalej
W głąb tej tajgi niezmierzonej,
A tu każdy już podróżą
Całkowicie wykończony.

Aż nareszcie podpływamy
Gdzieś do brzegu rzeki blisko,
Wszystkie rzeczy wytaszczyliśmy,
Rozpalamy tam ognisko.

Już jest słońko nad zachodem,
Starsi idą szukać drogi,
Dalsza podróż po tych chaszczach,
Nie na dzieci, starców nogi.

Aż tu wreszcie podjeżdżają
Duże wozy w konie małe
I woźnice na pół dzikie,
Na bezdroża wytrzymałe.

Wreszcie miejsce przeznaczenia,
Dla zesłańców tak surowo,
Obóz pracy i cierpienia
Mały sowchoz Uljanowo.

Zsyłka – pobyt w Uljanowie

Rozmieścili nas w barakach,
Kilka rodzin w jednej hali,
Niewygoda była taka,
Bośmy tam na narach spali.

Takie były pomieszczenia
Dla zesłańców na Syberię,
Tak różnego pochodzenia
Przesyłano całą serię.

Byli tam Litwini, Żydzi,
Ukraińcy i Polacy,
Każdy dobrze czuł i wiedział,
Że zapędzą nas do pracy.

Były tam warunki straszne,
Wszystkich trawił głód i nędza,
A do tego przed robactwem
Każdy jeszcze się opędział.

Wszy i pluskwy, karaczany
Wszystkim ludziom dokuczały,
A na ciele same rany,
Żył tak w nędzy obóz cały.

Do jedzenia trochę zupy
Ze stołówki sowchozowej,
Gdzie pływały w wodzie krupy
I do tego chleb razowy.

Z biedy ludzie wszystko jedli
Co przyroda dostarczyła,
Co zdobyli, co posiadli,
Byle jakaś żywność była.

Ludzie sobie zdobywali
Z różnych źródeł pożywienie,
Latem w lesie coś zbierali,
Jedli korę i korzenie.

Jedli nawet i padlinę,
Jeśli padł tam koń, czy wół,
Zgniły ziemniak lub łupinę,
Byle było co na stół.

Tak się wszyscy mordowali,
Głód dokuczał cały czas,
Lecz się jakoś nie dawali,
Duch był jeszcze w każdym z nas.

Rano zawsze gong uderzał,
Nawoływał on do pracy,
Każdy do zajęcia zmierzał
I Litwini i Polacy.

Tak to było w letniej porze,
Kiedy były prace w polu,
Zimą siedzieć nikt nie może,
W lesie każdy się mozolił.

Cięli drzewa, piłowali,
W lesie tylko echo brzmiało,
Wszyscy w śniegu po pas stali,
Tak to wszystko wyglądało.

By zarobić na kęs chleba,
Musiał każdy się mitrężyć,
Zwalczać zimno było trzeba,
Wszystkie trudy przezwyciężyć.

Taka była nasza dola,
Nikt nikomu nie zazdrościł,
Ciężka była to niewola,
Głód w rodzinach często gościł.

Nieraz ludzie tak wzdychali,
Że do Polski tak daleko,
Swoje ciuchy wymieniali
Na kartofle, kozie mleko.

Często tylko się marzyło
O swobodzie i jedzeniu,
Nieraz komuś się przyśniło,
Że jest w swoim otoczeniu.

Że w rodzinnym jesteś domu,
A na stole jest zastawa,
Nie zabraknie nic nikomu,
Lecz to tylko sen nie jawa.

Po tak nagłym przebudzeniu,
Smutek i rozczarowanie,
Jesteś w innym otoczeniu,
Czy tak zawsze pozostanie?

Przecież jest i Bóg na niebie,
Co nad swoim ludem czuwa,
Każdy modlił się w potrzebie,
Bo nadzieję w nim wyczuwał.

A tęsknota za Ojczyzną
Dodatkowo nas męczyła,
Tylko nieraz ktoś coś wyznał
I nadzieja jakaś była.

Gdy nadeszła smutna jesień,
Tak tragiczna dla nas chwila,
Był październik, czy to wrzesień,
Przyszli goście po cywilu.

Tymi gośćmi, co przybyli,
Byli ci z NKWD,
Zaraz wszystkich pocieszyli,
Będzie lepiej, bo jest źle.

Lecz to była tylko zмова,
By nas wszystkich dalej wieźć
I spotkała ich odmowa,
Nikt ich wniosku nie mógł znieść.

Więc niektórzy się burzyli,
Na ich widok były krzyki,
Dalszej drogi odmówili
Widząc, że to ich wybryki.

W nocy barak otoczyli
Z bronią w rękę ich żołdaci,
Wszystkich śpiących pobudzili,
Zachowali się jak kaci.

Pięciu mężczyzn z jednej sali,
Wstawać z narów ich zmusili,
Wszystkich z sobą już zabrali,
Do więzienia osadzili.

Po miesiącu dwóch zwolnili,
Gdyż nie było dla nich winy,
Pozostałych osadzili
Nie podając i przyczyny.

Wśród tych więźniów był mój ojciec,
Który również się buntował,
Gdyż swojego chciał on dociec
I nie słowem nie folgował.

Mieć co trzeba w swoim życiu
I korzystać z każdej chwili,
By nie krzywdził nikt w ukryciu,
Tak uważam, moi mili.

Za to jego uwięzili
I mu dali dziesięć lat.
Lecz niedługo tam pobyli,
Skończył im się piękny świat.

Już nie wrócił nasz Ojczulek,
Został na obczyźnie tam,
Nieraz w płaczu się rozczule,
A dlaczego? Nie wiem sam.

Teraz często się wspomina,
Te tragiczne dla nas lata,
Choć się o nie upominam,
Nie nadchodzi ich zapłata.

Ci co byli na zesłaniu,
To są mili Kombatanci,
Wspólnym związkiem powiązani
Jako byli emigranci.

Dość już tego komuniści,
Żeście chcieli świat zwojować,
Przyrzekamy uroczyście,
Że będziemy się buntować.

Chcemy wszyscy żyć w spokoju,
Witać ludzi jak brat brata
I pracować w pocie, w znoju,
Żeby użyć tego świata.

Zsyłka – dom dziecka

Byłem razem tam z rodziną
Pierwsze dwa przebyte lata,
Później z siostrą swą jedyną
Mogłem zwiedzić więcej świata.

Bo nareszcie Wasilewska
Troszcząc się o nasze życie,
Wzięła nas do domu dziecka,
Gdzie nam było znakomicie.

Dobrze było początkowo,
Gdy szły paczki z Ameryki,
A w tych paczkach to i owo,
Aż cieszyły się języki.

W domu dziecka dyrektorem
Był Teodor pan Dąbkowski,
Który był nam zawsze wzorem,
Bo przejawiał wszelkie troski.

Troszczył się zawczasu o nas,
Byśmy zawsze wszystko mieli,
Żeby było napalono,
Z zimna, z głodu nie cierpieli.

Wszędzie jeździł i zdobywał
Dla swych dzieci, tak jak ojciec,
Nieraz władze oszukiwał,
A swojego musiał dociec.

Po zerwaniu z Ameryką
Nastąpiła władza radziecka,
Wniosła strach razem z paniką
Do naszego domu dziecka.

Kiedy więc się zatroszczyła
Nad biednymi sierotami,
Wtedy już głodówka była,
Krucho było potem z nami.

Już niedługo nam potrwała
Taka dobroć i uciecha,
Wszelka pomoc się urwała
Dla wygnańców, dzieci Lecha.

Pan Dąbkowski był zwolniony,
Pozbawiony swej opieki,
Został wkrótce osądzony
I pożegnał się na wieki.

Przyszła wreszcie nowa pani,
Dyrektorem się nazwała,
Nikt szacunku nie miał do niej,
Zły stosunek do nas miała.

Modlić nam się nie dawała,
Karą głodu nam groziła
I za wszystko się gniewała,
Zawsze bardzo groźna była.

Lecz my na to nie zważali
I na przekór jej robili,
Za co jeść nam nie dawali,
Nawet nieraz i pobili.

Za to dzieci ją nazwały:
„Ta carowa Natalija”,
Bo nam mówić tak kazali,
Że to ruska ta bestyjka.

Była wśród nas bardzo miła
Pani Wojno, tęga głowa,
Ona to wciąż nas broniła,
Nie mężatka, ale wdowa.

Myśmy ją bardzo lubili,
A jej czyny szanowali,
Za jej dobroć wdzięczni byli,
Zawsze ją naśladowali.

Pani Maria Zach-Bokowa
Ciągle nami się troszczyła,
Gdy kogoś bolała głowa,
Dobrą radą poleczyła.

Jeden idzie z chorym okiem,
Drugi z palcem, trzeci z uchem,
Ciągle szli powolnym krokiem
Do Marii z bolącym brzuchem.

Nusiek z Mańkiem w izolatce
To bez przerwy chorych mieli,
Którzy, jak króliki w klatce
Tam zamknięci wciąż siedzieli.

Oni byli do obsługi,
Dziećmi się opiekowali,
Albo jeden, albo drugi
Zawsze chorym coś dawali.

Najważniejsza była chwila,
Gdy starostą ja zostałem,
To im życie wciąż umiłał,
Nad wszystkimi władzę miałem.

W każdy dzień było sprzątanie
W koło placu, na tarasie,
Każdy przydział swój dostanie
Do spełnienia w swoim czasie.

Kiedy wiernie już wypełnił
Przydzielone polecenie
I jak trzeba coś nie spełnił,
To dostawał upomnienie.

Dumny byłem wśród kolegów,
Że mam takie zaufanie
I z przejęciem bez protestów
Wypełniałem swe zadanie.

I tak co dzień się toczyło
Nieciekawe nasze życie,
W domu dziecka różnie było,
Nam się wiodło rozmaicie.

Kiedy było nam wesoło,
Tom tańczyli i śpiewali,
Lecz gdy nastał smutek w koło,
Wszyscy drżeli i płakali.

Nastał rok czterdziesty trzeci,
Stalingradzka ofensywa,
Strasznym głodem morząc dzieci,
Każdy już pomocy wzywał.

Nikt jej dzieciom nie udzielał,
Chociaż z głodu przymierały,
Dzień powszedni czy niedziela,
Do jedzenia nic nie miały.

Szły więc w pole, czy do lasu
Trochę zdobyć pożywienia,
Chociaż na to wiele czasu
Trzeba było i cierpienia.

Nikt na los swój nie narzekał
I nie płakał, nie biadolił,
Lecz do zmysłów swych uciekał,
By zaradzić swojej doli.

Jedliśmy co było w koło,
Co przyroda dostarczyła,
Bo wiadomo nie wesoła
Dla każdego chwila była.

Brukiew, ziemniak czy kapusta,
Poprzez kradzież w noc zdobyta,
Na ten nasz żołądek pusty,
Aby napchać się do syta.

Nieraz szliśmy hen do lasu,
Tam się każdy z nas ukrywał,
To po drodze już zawczasu
Do jedzenia coś zdobywał.

Chodziliśmy tam do lasu,
Po gałęzie, suche drzewo,
A z powrotem wiele czasu
Spędzaliśmy tak na lewo.

A na polu kartoflisko
Co ziemniaków dostarczało,
Tam palące się ognisko
Nam otuchy dodawało.

Bo ziemniaki, choć zmarznięte
Można było piec w ognisku,
Nasze buzie uśmiechnięte,
A do lasu było blisko.

W lesie grzyby się zbierało,
Jadło korę i korzenie,
Zawsze jadła było mało,
Dla nas jadło to marzenie.

A do kuchni my zbierali:
Szczał, lebiodę i pokrzywy,
Starsi, młodszy, duży, mali,
Wcale nie był nikt leniwy.

Aby zdobyć jak najwięcej
Z tej przyrody pożywienia
I dla wszystkich przysposobić,
Nam cokolwiek do zjedzenia.

To znów po chleb do piekarni
Chodziliśmy z woreczkami,
Każdy wiedział, że najbardziej
Wynagrodzi kruszonymi.

W kuchni były dwie kucharki,
Które ciągle narzekały,
Że im kradną wciąż sucharki
I, że one to widziały.

Zupę z kotła to najczęściej,
Do misek nalewały,
A tam na dnie co jest gęściej,
One sobie zostawiały.

I tak co dzień dzieci nasze
To przeważnie głodowały,
One kradły chleb, czy kaszę,
Bo litości nic nie miały.

A najgorsze to do szkoły
Trzeba było co dzień chodzić,
Był to problem niewesoły,
Musiał każdy się pogodzić.

To nie żarty czytelniku,
Była ta nasza nauka,
Bo w rosyjskim nam języku
Mówić, pisać była sztuka.

Lecz się nikt tym nie przejmował,
Jakoś to się udawało,
A, że nikt z tym nie wojował,
W głowach zawsze było mało.

Częste bójki też bywały,
Idąc do, lub też ze szkoły,
Walczył każdy, duży, mały,
Jak te orły lub sokoły.

Polak z ruskim, lub komikiem
Walcząc czuł się znakomicie:
Pięścią, pałką, nogą, bykiem,
Wiedział ,co to daje bicie.

Rusek później nas szanował,
Wiedział, że to nie są żarty,
Nawet później asystował
I zapraszał nas na narty.

W naszym domu różnie było,
Raz był smutek, raz wesoło,
Kiedy nic się nie zdarzyło,
To tak ciągle naokoło.

Lecz nie zawsze głód panował
I tak ciągle smutno było,
Gdy się każdy dostosował,
To się nieco poprawiło.

Trudno było tylko płakać,
Narzekając smutek dzielić,
Trzeba było i poskakać,
Trochę wszystkich rozweselić.

Były tam dwie piękne panie,
Które tańczyć nas uczyły,
Każdy z nas wciąż patrzył na nie,
One nas bardzo lubiły.

Jedna z nich mała Natalia:
Bardzo żwawa, energiczna,
A ta druga, to Rozalia:
Powolniejsza, bardzo śliczna.

One nas to nauczyły
Wiele tańców, tych ludowych,
Tylko tym zajęciem żyły,
Bo w nich był wciąż duch bojowy.

I tak ciągle w nas wpajały
Miłość ludu i Ojczyzny,
Tkwił w nich zawsze ruch wspaniały,
Który wnet zacierał blizny.

Nasze polskie pieśni, tańce
Na obczyźnie rozbrzmiewały,
Z nimi szliśmy jak na sztańce,
Bo nam siły dodawały.

Tańczyliśmy krakowiaka,
Wiele tańców wraz z mazurem,
A zaszczytem dla Polaka
Było się popisać chórem.

Śpiewaliśmy polskie pieśni
Z dumą, werwą i ochotą,
Bo się uczył każdy wcześniej
I nam wszystko szło jak złoto.

Mało kto się z nami mierzył
Z wykonaniem tańca, pieśni,
Bo od razu każdy wierzył,
Że już przegra z nami wcześniej.

Kiedyś w Kursku, w olimpiadzie,
Na dwadzieścia cztery domy,
Drugie miejsce tam w zasadzie
Nam przyznali ruskie złomy.

Jeden polski wśród zespołów
Był tak bardzo uważany,
Ze wszech stron i z góry, z dołu
Był przez wszystkich oglądany.

Tam w teatrze, już na scenie,
Gdy orkiestra nam zagrała,
Wszystko poszło w zapomnienie,
Tylko nam melodia brzmiała.

Nogi same nam chodziły,
W takt muzyki echo brzmiało,
Każdy tańczył co miał siły,
Drugie miejsce się dostało.

Bo najwięcej nam publiczność
Burzliwych oklasków dała
I na pewno pierwsze miejsce,
Bez wątpienia by przyznała.

Za występy dostaliśmy
Piękne bluzy, czapki, spodnie,
Żeśmy ładnie wyglądali
I chodzili nawet modnie.

Dostaliśmy akordeon,
Który nam jury przyznało,
Nim przygrywał zawsze Leon,
Co w zasadzie się przydało.

Wiele przygód się przeżyło
Przez tak trudne, młode lata
I nikomu się nie śniło,
Żeby przeżyć tyle świata.

Trudno się pogodzić było,
Kto kierował, a kto rządził,
Grunt, że jakoś się przeżyło,
A już Pan Bóg niech osądzi.

Oby takie przykre chwile
Więcej się nie powtarzały,
A ci, którzy to przeżyli
Niechaj głoszą Bogu chwały.

Niechaj złożą swoją duszę
Panu Bogu na ofiarę,
Podziękować teraz muszę
Za wytrwałość i za wiarę.

Powrót do Polski

Nadszedł wreszcie ósmy maja,
Był czterdziesty piąty rok,
Który wszystkich uspokajał
I przemijał ludzki szok.

Koniec wojny, wieść wspaniała,
Błyskawicznie się rozchodzi,
Cały świat i Polska cała
Wielki tryumf już obchodzi.

Taka radość wnet dociera
Do Polaków na obczyźnie,
Z tej radości krew zamiera,
Że powrócimy ku Ojczyźnie.

Wszyscy skaczą, się radują,
Z tej uciechy się ściskają,
Bo zesłańcy wolność czują,
Którą już nareszcie mają.

Lecz do kraju nie wrócimy,
Tak od razu, już w tym roku,
Jeszcze trochę tu spędzimy,
By powrócić w wielkim tłoku.

Minie lato, jesień, zima
I nadejdzie znowu wiosna,
Wtedy każdy wieść otrzyma,
Dla nas będzie wieść radosna.

My rodacy swego kraju,
Wolną drogę wreszcie mamy
I Polacy jak do rajów
Z tej obczyzny powracamy.

Jak te ptaki, co wracają
Po złej zimie do swych gniazd,
Sybiracy wolność mają,
Wrócą do wsi i swych miast.

Ja z mą siostrą powróciłem
Też, bez braci, bez rodziców,
Bo z nią tylko razem byłem
Tam na wschodzie, za granicą.

Byliśmy tam w domu dziecka,
Sierocińcem go nazwałem,
Bo z tą nazwą to nie sprzecza,
Przecież ojca już nie miałem.

Państwo Netry swą opieką
Nas oboje otoczyli,
Trochę łądem, trochę rzeką
I do Polski dostarczyli.

Po przyjeździe do Czyżewa
Nastąpiła radość wielka,
Bo nad nami ubolewała
Zgromadzona ludność wszelka.

Czyżewiacy coś mówili
I o wszystko się pytali,
Czyśmy może głodni byli,
Pić i jeść nam dostarczyli.

Różne rzeczy przynosili
Dla przyjezdnych swych rodaków,
Myśmy za to wdzięczni byli,
Że witają tak Polaków.

Potem prosto już ze stacji
Było kilka kilometrów
I poszliśmy na libację
Do rodziny państwa Netrów.

Tam z radością nas przyjęli
I wspaniale ugościli,
Myśmy wkrótce zapomnieli,
Żeśmy tacy głodni byli.

Niedaleko żeśmy mieli
Już do domu wzdłuż przez pole,
Gdy oboje ujrzeliśmy
Boćków gniazdo na stodole.

Chata była zawalona,
Komin wielki, niski dach,
Do połowy okrojona,
Na to patrzeć było strach.

Tam mieszkali przecież ludzie,
Którzy tak ubogo żyli
A siedzieli, jak psy w budzie,
Oni bardzo biedni byli.

W chacie mieszkał stryjek z żoną,
Który był też niespokojny,
Zastał chatę zawaloną,
Sam powrócił przecież z wojny.

Był on w Rosji razem z nami,
Później wroga bił na wojnie
I z innymi żołnierzami
Szedł na Berlin niespokojnie.

Gdyśmy weszli do tej chaty
I wokoło rozglądali,
Że stryj także niebogaty,
Zaraz my się przekonali.

Lecz czym chata jest bogata,
Zawsze gościom rada,
Dzieliły nas długie lata,
Więc ugościć nas wypada.

Chociaż stryjna nieznajoma
Bardzo mile nas przyjęła
I czym miała w swoim domu
Tu ugaszczać nas zaczęła.

Nasmażyła jajecznicę,
A chleb z mlekiem tak smakował,
Wszystko bym ja bez granicy
Za to wszystko ofiarował.

Wkrótce żeśmy odjechali
Witając się z Jasienicą,
Tam rok szkolny przedłużali
Rozpoczęty za granicą.

Tu znów nowy bieg wypadków
I nowe przeżycie,
A u boku wujów, dziadków
Było wyśmienie.

Siódmą klasę tu skończyłem,
Do liceum się dostałem,
Cztery lata tam przebyłem,
Pedagogiem więc zostałem.

I zaczęła się kariera
W mojej pracy zawodowej,
Która w sobie treść zawiera
W edukacji młodzieżowej.

Tak przebiegły młode lata,
Jak sen szybko wiek przemija,
Dzisiaj jest już starsza data,
Lecz i ona jeszcze sprzyja.

Szkoła – liceum (fragmenty)

W Jasienicy krótko byłem,
Na dwa lata tam zostałem,
Podstawówkę ukończyłem.
Do liceum się dostałem.

A liceum w Radzyminie
Było kiedyś piękne dzieło
Już niestety nie zasłynie,
Gdyż to wszystko już splonęło.

Cudne chwile przeżywałem
W tej przepięknej naszej szkole.
Wielu tam przyjaciół miałem,
W swoim gronie i zespole.

I wspaniałych wykładowców,
Którzy sił nie szczydzili
Dla swych dziewcząt jak i chłopców
Też wyrozumiali byli.

Nasi wierni przyjaciele
Cenną wiedzę nam oddali,
Bo w wykładach bardzo wiele
Swych mądrości przekazali. (...)

Przy kościele stał internat,
W którym chłopcy zamieszkali,
On był dla nich jak rezerwat,
Tam po lekcjach przebywali.

Stały łóżka w nim piętrowe
Z obu stron obszernej sali
I w warunkach wręcz wojskowych,
Wolne chwile tam spędzali.

Nasz Internat był strzeżony
Poprzez aktyw „zet-em-pe”,
Bardzo często narażony,
Z jakich przyczyn? Każdy wie.

Tym powodem była wiara,
Uczęszczanie do kościoła,
A w ocenie skąpa miara,
Dla nas chłopców niewesoła.

Często byliśmy wzywani,
Na odprawę z dyrektorem,
Szczegółowo tam badani
Tradycyjnym jego wzorem.

Kto mu się sprzeciwić zdołał,
Miał on żywot niewesoły,
Zaraz na dywanik wołał
I wykreślał go ze szkoły.

Ja z chłopcami też mieszkałem
Razem, prawie cztery lata,
A pod koniec się dostałem
Na prywatkę do kamrata. (...)

Cały czas się myślą żyło,
Niech pękają nawet mury,
Głównym celem moim było
Przygotować do matury.

Dzisiaj chętnie ja wspominam,
Chociaż minął długi czas,
Trwały obraz – oryginał,
Który utkwiał mocno w nas.

Wielu dobrych profesorów
Było przecież w naszej szkole,
Więc korzystać z takich wzorów
Było można w tym zespole.

Matematyk, pan Łarykow,
Często nie spał nawet nocy,
Bo z powodu złych wyników
On udzielał nam pomocy.

Martwił się tym bardzo wiele,
Przyrzekł nam to prosto z góry:
„Ja was drodzy przyjaciele,
Doprowadzę do matury”.

Był w zasadzie mało znany,
W swych zamiarach bardzo skryty,
Lecz przez uczniów szanowany,
A w swej pracy znakomity.

A Kamińska, pani Jasia,
Polonistką u nas była,
Wszystkich uczniów w każdej klasie
Ona bardzo polubiła.

W gronie naszym, wszyscy wiemy
Czuła się też młodzieżowo,
Nieraz trudne tak problemy
Załatwiała ugodowo.

Pani Jasia, modna dama
Była piękna i wesola,
A nie była nigdy sama,
Miała uczniów dookoła.

Pan Kamiński – to mąż Jasi
Wykładowca rosyjskiego,
Miał on humor w każdym czasie,
Gdy wymyślał coś nowego.

Bardzo dobrym był człowiekiem,
Wiernym druhem i kamratem,
Choć nie stary jeszcze wiekiem
To pożegnał się z tym światem.

Po nim ja przejąłem rolę,
Rosyjskiego nauczałem,
W pierwszych klasach i w zespole,
Przecież język dobrze znałem.

Tak przez rok się mozoliłem,
Inne lekcje opuszczałem,
A, że wykładowcą byłem,
To i satysfakcję miałem.

W końcu nastał Pan Misiewicz,
Studia kończył w Leningradzie,
Mówił wolno jak Budrewicz,
Dobrze uczył on w zasadzie.

A z rosyjskim na maturze
Też emocji przybywało,
Bo trudności były duże
I kłopotów też niemało.

Chemię miał Stanisław Pasek,
Mówił szybko i zawile,
Więc zasady jak i kwasy
Pozostały mocno w tyle.

Nikt z nas nie mógł pojąć tego,
Choć na pamięć się wkuwali,
Szkoda, że z wykładów jego
Mało żeśmy skorzystali.

A Pan Wójcik wuefista
Często z nami też przebywał,
Ładnie tańczył polkę, twista
I w siatkówkę chętnie grywał.

Chołoniewska Małgorzatka
Z dziewczętami przebywała
I nad każdą, jak ta matka,
Swą opieką roztaczała.

A nasz woźny Janek Klat,
Bardzo często On się złościł,
Więc przeklinał cały świat,
Nigdy nie śmiał się z radości.

Z Radzymina do Warszawy
Często żeśmy kursowali,
Załatwiali różne sprawy,
Coś dla siebie kupowali.

Do pociągu się wsiadało,
Który „ciuchcią” nazywali
I ze śpiewem się jechało,
Lub wesoło rozmawiało. (...)

Bardzo szybko czas upłynął,
Przeminęły cztery lata,
Choć w mym życiu on zasłynął,
Przemknął, jakby strzelił z bata.

Mieć przyjaciół – wielka sztuka,
Zaufanych i oddanych,
Lecz ich poznać – to nauka,
Takich dotąd mało znanych.

Tam w Liceum, cudne chwile
W swoim gronie się spędziło,
Przeżyłem to bardzo mile,
Szkoda, że się już skończyło.

Moja praca i rodzina

W pięćdziesiątym trzecim roku
Był początek mej kariery,
Miałem w pracy moc uroku,
Prócz trudności i bariery.

Trzy placówki do wyboru,
Mogłem nawet w nich wybierać,
Więc bez targu i bez sporu,
Gdyż nie miałem z kim się spierać.

Jasienica – wieś kościelna,
W niej się nawet urodziłem,
Że decyzja była chwiejna,
Więc do Ołdak ja przybyłem.

Pierwsze lata wieś Ołdaki,
Szkoła – barak to drewniany
I budynek byli jaki,
Z grubych desek pozbijany.

Cztery klasy plus świetlica,
Oraz pokój nasz nieduży,
Który w czasie urzędniczym
Kancelarią on mi służył.

Jedynym mężczyzną byłem,
Oraz trzy uroczę panie,
W trwałej zgodzie z nimi żyłem,
Miałem u nich zaufanie.

Osiem latek się spędziło
W tych warunkach nietypowych,
Nawet światła tam nie było,
Praca przy lampach naftowych.

U Godlewskich zamieszkałem,
Bardzo dobrych gospodarzy,
Znakomicie ja tam miałem,
Szczерze o nich się wyrażę.

Tam trzy lata ja przebyłem,
Do Popławskich się przeniosłem,
Bliżej szkoły przemieściłem,
W czwartym roku tuż na wiosnę.

Uczennicę ja tam miałem,
W czwartej klasie wówczas była,
Jej w nauce pomagałem,
Za co matka wdzięczna była.

Gdy kolegów zapoznałem,
To mieszkanie znów zmieniłem,
U Krasowskich zamieszkałem,
Już do końca u nich byłem.

Przez trzy lata studiowałem,
„Stawki 2” SN w Warszawie,
Tam kontakty nawiązałem
Z Kozikowskim w swojej sprawie.

On zaprosił mnie do siebie,
Więc w wakacje przyjechałem,
Przede wszystkim w swej potrzebie,
Przyszłą żonę zapoznałem. (...)

Po trzyletnim już SN-ie,
Znów do wiedzy przystąpiłem,
Na uczelni ja w Olsztynie
Wyższe Studium ukończyłem.

W sześćdziesiątym szóstym roku,
Gdy do Stawisk się przenieśliem,
To do szkoły parę kroków,
Przez pięć minut nawet doszedłem. (...)

Pracowałem w tym zawodzie
Tak wytrwale długie lata,
A z oświatą żyłem w zgodzie,
Dla mnie była to zapłata.